Nr. 25. Lwów, dnia 29. lipca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

JAN NERUDA.

GARBATY FRANC.

(Z CZESKIEGO).

Żywo przypomina mi się „mały Franc,“ garbaty skrzypek z „Małej strony“; dotąd jeszcze pamiętają go dobrze mieszkańcy tego przedmieścia. Postać i rysy jego zapisały się głęboko w pamięci jak udatny rysunek karykatury. (Za porównanie Franc się nie pogniewa)!

Opisywać go nie będę, gdyż każdy kto raz tylko oglądał garbatych klownów na olbrzymich afiszach angielskich reklam, łatwo go sobie wyobrazi.

Te same rysy, ostre a wymowne, ten sam nosek mały, zaczerwieniony a cieńki. Usta wyrażały raczej znużenie niż szyderstwo a niebieskie oczy nie uderzały ani dowcipem ani humorem, lecz zdawały się zasyłać jakąś błagalną prośbę rzewnem swojem spojrzeniem. Na siwej czuprynie trzymała się doskonale malutka, zniszczona, zielona czapka, z denkiem twardem na dwoje przełamanem. Podobnego okrycia głowy, już nigdzie się nie spotyka, chyba po wsiach u małych dzieci. Nosił wytarty zielony fraczek z zatłuszczonym kołnierzem aksamitnym, z połamanemi i pokrzywionemi guzikami metalowemi, spodnie cieniutkie, na kolanach bardzo już zużyte. Do tego wszystkiego przyłączało się jeszcze kalectwo, Franciszek był garbaty. Mimo niezwykle dziwacznego jego wyglądu, dzieci nigdy się zeń nie naśmiewały, owszem, bały go się nawet.

Franc miał oddech krótki, i kaszlał mocno. Gdy wlókł się do oddalonego swego mieszkania w górzystym wąwozie, stawał co dziesięć kroków lub opierał się plecami o mur; pomarszczone ręce spierał na kolanach i wypoczywał. Często nakładaliśmy sobie kawał drogi by ominąć przykry widok zmęczonego i kaszlącego garbusa. Czasem zmusiła mnie matka zanieść grosz biedakowi; wstrzymywałem wtedy oddech i drżącą ręką oddawałem go Francowi. Ze starszych także nikt nie zaczepiał nigdy i nie drwił sobie z biednego Franca; tragarze tylko i rębacze wychodząc czasem podochoceni ze szynku wołali do niego: — Patrzajcie, Franc sunie prosto do szynku!

Ojciec mój zaglądał w owym czasie często do „starego Glaubica“ na szklankę pilznera. W piwiarni tej schodzili się przeważnie starzy artylerzyści, dawni jego koledzy. Mnie brał ojciec często ze sobą; z preclem w ręku siedziałem tam cicho w kąciku, przysłuchując się opowiadaniom z ostatnich wojen, które starzy kamraci co najmniej już po dwadzieścia razy sobie powtarzali.

Pewnego dnia, zastaliśmy tam Franca. Otoczony gromadą podochoconych i hałaśliwie wy

krzykujących ludzi, wygrywał na swoich starych, zużytych skrzypcach wesołe piosenki i polki, które, nie wiem dlaczego, zawsze mnie do płaczu pobudzały...

W szynku była zaducha, hałas, krzyk i wrzaski. Nagle, kilku najbardziej podchmielonych towarzyszy, porywa Franca z krzesłem i stawia na stole. Wybuch ogólnej wesołości powitał małego garbusa, który kołysząc się na podniesionem w górę krześle, niezapomniał o tem co do niego należy — szarpnął smyczkiem, zagrał tusz i wykrzyknął z całej siły...

Lecz jego, „huha“! podobniejsze było do wykrzyku boleści niż do wybuchu wesołości.. Dla rozochoconego tłumu podobne różnice są nieuchwytne.

— Tam do djabła! — zawołał śmiejąc się na całe gardło rębacz Sternat — patrzcie, czy nie wygląda ta mała bieda jak krzywy rogalik za dwa grosze!

Głośny śmiech zawtórował dowcipowi.

Franc zagrał znów tusz i wykrzyknął, lecz okropny kaszel przerwał mu natychmiast.

— Nic nie pytaj, to ci już nie zaszkodzi! Jedna wdowa więcej, wielkie rzeczy! A słuchaj mały, co tobie do łba strzeliło, żenić się z takim herodem?

— Ha, myślałem, ja za połowę ona za półtora, ta będzie i troje...

— A często też bierzesz pranie?...

Kaszel dusił biedaka i trząsł nim; więc nie słyszał co gadano.

— Co mówicie?

— A pranie często wam baba urządza?

Gorąco i zaduch w górze wstrzymywały krótki oddech Franca. Urywał słowa i kaszlał.

— Ta jak czasem .. we czwartek albo w piątek, kiedy od was hołoto, grosza nie wydusić... Mniej jak dwadzieścia pięć, nie ma się co pokazywać! O, wtedy pukam do drzwi bardzo delikatnie... baba zna się na tem i godzinę każe stać pod drzwiami. Na drugi dzień nie da nic, prócz kawałka chleba suchego — nie ma się czego cieszyć. Tu kobieta głaszcze mnie po plecach... Trafi się za te dwadzieścia pięć albo i talarek, wtedy — ha, obcasami, walę do drzwi a klnę co się wlezie... Wtedy, bal! Baba daje wieprzowinę z kapustą i knedle — hihu!...

Chciał smyczkiem pociągnąć, lecz silny kaszel kurczowy chwycił biedaka gwałtownie, opuścił ręce, skrzypce upadły na ziemię, i gdyby Sternat nie poskoczył, byłby i on runął za niemi...

— Źle mu się zrobiło! To chudoba... Panie gospodarzu, fifkę czerwonego mu dajcie!

— Zbierzcie te graty i posadźcie go nazad na jego miejsce...

— No, Franc zabierajcie się do domu... A wal dobrze obcasami w drzwi, i wyspij się dobrze!

Skulony, wysunął się za drzwi.

W sieniach ogarnął go zimny prąd powietrza; zatrzymał się, sparł ręce na kolanach, stękał i mruczał:

— Hm, coś mnie dzisiaj bardzo ciągnie do domu... Pójdę prosto do domu...

Wyszedł na plac i zatrzymał się znów w altanie; na dworze szalała śnieżyca, jak gdyby wszystkie chmury śniegu na ziemię zwalić się miały. Wicher świszcząc i wyjąc uganiał po ulicach, unosząc tumany śniegu i gromadząc zaspy około filarów altany.

Pochylony, wsparłszy ręce na kolanach, poruszył się Franc nareszcie; ciężko mu było wydostać się z altany; bał się burzy, która co raz czarniejsze gromadziła chmury nad placem świętego Mikołaja. Bał się, bo wiedział, że nie jest o wiele cięższy i silniejszy od tych białych latających ptaków.

— Nie ma rady, pójdę, coś mnie ciągnie... Jakoś się tam dostanę... — mruknął i ruszył z miejsca. Wicher wył ze wściekłością i miotał w twarz śnieżnym tumanem; oddech zapierał w piersi, z nóg zwalał. Biedny Franc zakręcił się jak piórko i runął na ziemię. Długa przeszła chwila nim ocknął się i zdołał podnieść...

— Muszę, muszę się dostać do domu! — mruczał, dodając sobie odwagi.

Długo, długo wlókł się i drapał stromym wąwozem do góry; przed każdym domem, koło każdego rogu zatrzymywał się i wypoczywał. Wreszcie, wydostał się na górę i stanął przed domem; miał już zaledwie tyle tylko władzy w członkach by ruszyć klamką u drzwi; w tej chwili jednak pośliznął się na progu i upadł bezsilny w śnieg...

Cisza... Po kilku minutach drzwi się otworzyły; rosła, silna kobieta stanęła w progu.

— Dla Boga, Franku mój, co ci się stało?

Szybko poskoczyła i jak małe dziecko podniosła męża z ziemi.

— Jak się Marunia ma?

— Dobrze, dobrze — odpowiada i na rękach wnosi go do domu.

— Tylko cicho, cicho... żeby się dziecko nie przestraszyło... — szepcze Franc we drzwiach.

Nie rzekłszy słowa, sadza go kobieta na krześle przy stole.

— Spi? — pyta Franc tłumiąc gwałtowny kaszel.

— O, spi, spi... — odpowiada kobieta drżącym, przytłumionym głosem i klęka obok sienika na ziemi.

Mdłe światełko lampki pada na nędzny barłog, na którym spoczywa nikła postać dziesięcioletniej może dziewczynki... Czarne krucze włosy rozrzucone w nieładzie (jak zwykle u ludzi długą chorobą do łoża przykutych) ocieniają wychudłą, suchotami wyniszczoną twarzyczkę.

Zamknięte oczy okrywają sine powieki — ręce dziewczęcia złożone jakby do modlitwy.

— Co z dzieckiem dla Boga? Coś mnie dzisiaj strasznie do domu ciągnęło, gnałem co sił starczyło... Leży to biedactwo jak spiący aniołek.. No, daj już pokój stara, nie płacz... Mam pieniądze na lekarstwo...

— Ona... nie... potrzebuje już!...

I nie mogąc powstrzymać wybuchu, z płaczem rzuciła się na dziecko.

— Umarła! — Zerwał się z przeraźliwym krzykiem i stoczył z krzesła na ziemię. Chciał się gwałtem o strasznej prawdzie przekonać... Zerwał się znowu, zachwiał i padł bez zmysłów.

Nazajutrz, gromadka dzieci spieszyła wąwozem pod górę. Mówiono nam, że garbaty Franc leży już na marach... Ze strachem zbliżyliśmy się do nędznego domku.

Izbę zapełniali ludzie miłosierni i ciekawi. Obok płaczącej kobiety stał rębacz Sternat. Wzrok wlepił w dwa leżące obok siebie trupy i patrzył niemy długo — długo...

— Czy nie wygląda, jak zeschły rogalek za dwa grosze? — jęknął nakoniec. — Ha, nie ma rady... Zabiorę oboje i razem ich poniosę... — Zatrząsł mu się głos, odwrócił się i łzy ocierał...

...To blady anioł wołał tak biednego, znużonego ojca — wołał, by spoczął obok niego...

SPRAWA SZENBĄCH

(Z NIEMIECKIEGO)

(Dokończenie).

VI.

Wiadomość o śmierci Fryderyka wpłynęła nieświadomie na los Laury.

Za pierwszą jej bytnością u ciotki bawił tamże siostrzeniec tej ostatniej ze strony męża, hrabia Gustaw Barteletti. Piękność młodziutkiej kuzynki, jej wdzięk i prostota zrobiły na znudzonym i przesyconym młodzieńcu tak silne wrażenie, że je ledwie ukryć potrafił.

Ciotka Hilda, mająca, jak każda kobieta, bystre oko w sprawach sercowych, szybko zauważyła, co się dzieje w sercu siostrzeńca i umyśliła popierać jego zamiary.

Na delikatne jednak zaczepki siostry, hrabia odpowiedział niechętnie:

„Przestań, moja droga, Laura ma dopiero lat szesnaście, o miłości nie ma jeszcze pojęcia, a ja przymusu na nią nakładać nie chcę i nie będę“.

Namówiony przez ciotkę hrabia Gustaw wrócił do Rzymu, pani Hilda jednak postanowiła projekt swój doprowadzić do skutku.

To też zabiegała tak umiejętnie, tak przekonywająco dowodziła hrabiemu korzyści tego związku, że biedny ojciec zgodził się wreszcie na projekt siostry, kładąc ten jedyny warunek, żeby ślub odbył się dopiero za lat dwa, kiedy Laura skończy lat 18. Do tego czasu rzeczy miały iść swoim trybem.

Hrabia tymczasem nie doczekał zamąż pójścia swej pieszczotki. Zmarł w rok po opisanych przez nas zdarzeniach i Laura, potrzebująca jeszcze kobiecej opieki przeniosła się na stałe do ciotki. Wtedy to hrabia Gustaw wystąpił otwarcie z zamiarami swemi. Laura, niewinna i nie znająca życia, po pe-

wnym czasie zgodziła się na ten związek i oddała rękę hrabiemu Gustawowi.

Wkrótce jednak przekonała się biedna kobieta, jak złudnemi bywają pozory i w jaką popadła niedolę.

Słomiany ogień zagasł w sercu jej męża bardzo prędko, nie pozostawiając w zamian nic, nawet prostej uczciwej życzliwości.

Młody mąż powrócił do swego kawalerskiego życia, do kart i szulerki, do najohydniejszych orgji, które wyprawiał pod bokiem swej niewinnej żony.

Taki stan rzeczy, nie ukrywany przez głównego winowajcę, który się nim nawet chełpić potrafił, nie mógł być dla nikogo tajemnicą i wkrótce cały świat mówił o nieszczęściu pięknej żony hrabiego

Wieści te doszły i do Wittingen, gdzie Jan od śmierci ojca stale przebywał i zaniepokoiły go niezmiernie. Wiedząc, że siostra przez dumę i miłość dla niego ukrywać będzie prawdę, wybrał się do Rzymu, aby własnemi oczyma zmierzyć głębię niedoli biednej kobiety

Nie potrzebował długo czekać. Po tygodniu wiedział więcej, niż mógł nawet przypuszczać i zaczął rozmyślać nad ratowaniem siostry. Przedewszystkiem chciał zabrać ją do siebie, aby rozpocząć kroki rozwodowe, lecz Laura oparła się temu, dowodząc, że złe życie męża nie uwalnia jej od przysięgi dobrowolnie przed ołtarzem złożonej Wtedy Jan spróbował przemówić do serca i sumienia szwagra, lecz wywierało to tylko wręcz przeciwny skutek i pogorszyło i tak ciężkie położenie Laury.

W tym czasie zaszedł jednak wypadek, który wlał odrobinę radości w udręczone serce kobiety. Najprzód skandaliczne życie jej męża zwróciło na niego uwagę władzy, pozbawiło posady w poselstwie i uczyniło pobyt w Rzymie niemożliwym Wskutek tego hrabia Gustaw postanowił przenieść się do dóbr odziedziczonych po siostrze, a leżących niedaleko od Wittingen. Dla Laury była to nieledwie radosna wiadomość. Powrót do stron rodzinnych, do ukochanego Wittingen, tak pełnego wspomnień, do jedynego brata wydawał się jej snem nieledwie. A kiedy jeszcze nadeszła wiadomość, że pogłoska o śmierci Fryderyka była mylną, że ranny odłamem granatu przychodzi powoli do zdrowia w lazarecie wojskowym, podniesiony do rangi pułkownika, biednej kobiecie zdawało się, że wszystkie jej niedole skończyły się, a przynajmniej zmalały niezmiernie. Z radością też poczęła się wybierać do podróży i wkrótce hrabiostwo Barteletti osiedli w Szenbach.

VII.

Pewnego dnia, kiedy Laura, przypominając sobie szczęśliwe dni swojego dzieciństwa, przebiegała cieniste aleje parku, na dziedzińcu zamkowym ukazała się nędznie ubrana kobieta z dzieckiem na ręku. Piękna jej twarz, otoczona kruczej czarności warkoczami, nosiła ślady niezmiernego wyniszczenia, olbrzymie czarne oczy skąpane były we łzach, a głos drżał wzruszeniem, kiedy pytała o panią zamku

Janek, który właśnie zjawił się na progu domu, usłyszał to pytanie, a wzruszony wypisaną na twarzy nieznajomej niedolą, zbliżył się ku niej, chcąc wiedzieć, co ją aż tutaj sprowadziło. Po pierwszej jednak odpowiedzi na twarzy jego odmalował się wyraz wielkiego niepokoju; poprowadził nieznajomą do wnętrza i zamknął się z nią w jednym z oddalonych gabinetów zamku. Po długiej chwili wyszedł ztamtąd wzburzony, a poleciwszy nieszczęśliwą opiece siostry, wsiadł na konia i jak szalony popędził w stronę Szenbachu.

VIII.

Tego samego wieczora zjawił się w zamku hrabiego Bartelleti komisarz policyjny w towarzystwie młodego wojskowego, w którym baczne oko poznałoby łatwo pułkownika Fryderyka Romaisena W zamku stało się nieszczęście, przed kilku godzinami znaleziono hrabiego Gustawa bez życia, leżącego na brzegu skalistej rozpadliny. Przywołany lekarz policyjny stwierdził śmierć natychmiastową od uderzenia o wystający ostry kant urwiska. Rozpoczęto śledztwo, a tymczasem aresztowano młodego pułkownika, którego znaleziono stojącego samotnie niedaleko od miejsca wypadku.

Ze śledztwa dowiedziano się, że na godzinę przed odnalezieniem ciała, młody hrabia Wittingen po długiej i burzliwej rozmowie, bez pożegnania, opuścił Szenbach. Przypuszczano, że hrabiemu chodziło o siostrę, która nie była szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem. Śledztwo ciągnęło się wolno, poszlak było niewiele i tak nieznaczące, że nawet młodego pułkownika uwolniono za poręką władz wojskowych.

Minął jeden miesiąc i drugi, a sprawa z Szenbach nie posunęła się o włosek. Szukano i badano na wsze strony, sędzia rwał włosy z głowy, a nie mogąc znaleźć winowajcy, aż wreszcie, przypominając wszystkie szczegóły pierwotnego śledztwa, rzucił

podejrzenie na tych, którym zmarły najwięcej krzywd uczynił, na młodego hrabiego i jego siostrę.

Usłyszawszy posądzenie takie, młody pułkownik drgnął, jakby z przerażenia, twarz powlokła mu się śmiertelną bladością, zamknął oczy, jakby skupiając myśli, po chwili jednak podniósł się wolno i blady bardzo, lecz z twarzą, na której malowało się silne postanowienie, rzekł głośno

— Niech posądzenie nie plami nikogo, gdyż ja zabiłem hrabiego Bartelleti

Głuchy szmer oburzenia rozległ się w sali. Lecz sędzia uciszył go w jednej chwili, a zwracając się do podsądnego, zapytał:

— Jakto, pan zabiłeś? Dlaczego? W jaki sposób?

— Ja — odrzekł Fryderyk — posprzeczaliśmy się i w uniesieniu pchnąłem go w piersi.

— Czyś pan wiedział, żeście stali na brzegu urwiska, że popchnięcie takie groziło hrabiemu śmiercią?

— Czym wiedział — powtórzył Fryderyk, a oczy jego pobiegły gdzieś pomiędzy widzów. — Nie, nie wiedziałem — powtórzył mocniej, jakby uspokojony — byłem wzburzony i oszalały z gniewu i rozpaczy

— Czy wolno wiedzieć, o co panom poszło? — zapytał znowu sędzia.

— To moja osobista sprawa — była krótka odpowiedź.

Na skinienie sędziego, woźny sądowy poprowadził Fryderyka, lecz przed samemi drzwiami ten zatrzymał się nagle, zwrócił się do sędziego i rzekł:

— Jedno jeszcze słowo, panie sędzio, ale bez świadków

Sędzia skinieniem usunął woźnego i długą chwilę rozmawiał z obwinionym.

IX.

W zamku tymczasem zapanowały smutek i żałoba. Śmierć hrabiego zrobiła na Laurze silne wrażenie, pomimo to jednakże uczucie pewnego oswobodzenia budziło się w jej duszy, choć wyrzucała je sobie jako zbrodnię, karząc się za nie wszelkiego rodzaju umartwieniami. Młody hrabia, powróciwszy z owej wycieczki do Szenbach, położył się do łóżka i leżał rozgorączkowany i jakby jakimś tajemnym niepokojem trawiony. Wiadomość o śmierci hrabiego z wezwaniem Laury do Szenbach zjawiła się w chwili dla hrabiego najgorszej, to też młoda kobieta, zabroniwszy najsurowiej donosić o tem hrabiemu, wyjechała do domu, aby poczyniwszy wszelkie wymagane od niej przygotowania, wrócić czemprędzej do łoża ukochanego brata. Na domiar złego dowiedziała się o przyznaniu do winy Fryderyka i wiadomość ta kamieniem spadła na jej serce. Cała jej dusza burzyła się przeciw temu ohydnemu posądzeniu, czuła ukrytą w tem tajemnicę, a przeczucie szeptało jej ciągle, że główną przyczyną zbrodni mogła być tylko ona. To też piękna jej głowa pochyliła się ku ziemi, a serce modliło się gorąco o wyzdrowienie brata, który, jak wierzyła, wszystkiemu zaradzi i pomoże

Nareszsie po długich dniach oczekiwania upragniona nadzieja wstąpiła w jej duszę.

X.

Fryderyk tymczasem siedział smutny w swej celi, a myśli jego błądziły ciągle wokoło ukochanej postaci, pomiędzy którą rzucił taką straszną, nieprzebytą przeszkodę

Nagle drzwi otworzyły się z hałasem i grono oficerów wtargnęło z wesołym okrzykiem na ustach:

— No zbieraj się, ty djabelski chłopcze, „przychodzimy zabrać cię z tej ciemnicy“.

Fryderyk stał oniemiały ze zdumienia, nie rozumiejąc nic, co się stało

Koledzy tymczasem ściskali mu ręce, nakładali mundur i przypinali szablę, spiesząc się i popychając wzajemnie. Nareszcie porwawszy go za ręce pociągnęli ku wyjściu.

— Ależ dokąd mnie prowadzicie? zdołał nareszcie wyjąkać młody człowiek.

— Jakto dokąd — odkrzyknięto wesoło — naturalnie do generała, który na ciebie czeka z porządną perorą. Będziesz się miał z pyszna.

Siwy generał czekał już na delikwenta z wąsami nastroszonemi, ze zmarszczoną brwią, pod którą jednakże łagodne, jakby wzruszone, połyskiwało spojrzenie Ujrzawszy Fryderyka, namarszczył się jeszcze surowiej i rzekł groźnie:

— Jak śmiesz szkaradny chłopcze plamić tak ten mundur, który masz na sobie? kto cię nauczył krzywo przysięgać?!

Fryderyk podniósł głowę — nie rozumiał całej tej sceny, widział tylko uśmiechnięte twarze kolegów, widział niby groźne, a takie ojcowskie spojrzenie generała i coś jak prawda poczęło mu błyskać przed oczami.

— Teraz patrzysz jakbyś trzech zliczyć nie umiał,

a w sądzie, kto przyznawał się do winy niepopełnionej z taką śmiałością, jakby był urodzonym zbrodniarzem, co?

— Panie generale, ja doprawdy...

— Co — huknął generał — jeszcze się zapiera, chodź no tu hrabio i wytłómacz temu uparciuchowi, że komedja dawno już skończona.

W tej chwili w otwartych drzwiach pokoju pojawił się Janek i z okrzykiem radości rzucił się w objęcia przyjaciela.

Z drugiej strony miękka jakaś rączka ujęła dłoń jego i cichy głosik szepnął.

— Niedobry, niepoczciwy Fryderyku, tak martwić swoich przyjaciół. Gdyby nie Janek, siedziałbyś jeszcze w swojem ciemnem więzieniu pod zarzutem zbrodni, której wcale nie było.

Na głos ten Fryderyk porwał się nagle, i wyciągając ręce, krzyknął:

— Moja droga, jedyna Laura!

XI.

Tego samego dnia przyjaciele siedzieli razem na zamkowym tarasie.

Laura oparła jasną swą główkę na ramieniu dawnego towarzysza zabaw, a oczy zwróciła ku bratu, który kończył opowiadanie nieznanych jeszcze Fryderykowi szczegółów:

„Po rozmowie z nieznajomą, wsiadłem na konia i popędziłem do Szenbach. Na szczęście, zastałem Gustawa w domu. Dowiedziawszy się, że jest w parku nad stawem, gdzie właśnie zapuszczano sieci, zostawiłem konia służącemu, a sam skierowałem się w głąb.

Po zimnem bardzo powitaniu, prosiłem go o chwilę rozmowy sam na sam. Poszliśmy na sam koniec parku i tu bez żadnych wstępów odezwałem się do niego:

— Gustawie, Julietta jest u mnie. On drgnął, spojrzał na mnie przelotnie, lecz milczał.

— Czyś mnie zrozumiał, Gustawie, powtórzyłem, Julietta jest u mnie z dzieckiem, z twojem dzieckiem.

— Więc cóż? — zapytał chłodno.

— Więc pytam się co myślisz robić z Laurą, jeśli Julietta jest twoją prawą żoną?

Gustaw wybuchnął ironicznym śmiechem.

— Julietta jest szaloną — rzekł urągliwie — która pozwoliła się złapać na niezręczną komedję. Zapytaj mojego Frytza, kto był ten ksiądz, co nam ślub dawał, zapytaj jej samej, czyją ręką pisany jest akt i jakie są na nim pieczęcie.

Zrozumiałem odrazu, odsunąłem się od tego człowieka, co z takim cynizmem odkrywał przedemną brudy swego życia.

— Jesteś większym nikczemnikiem, niż przypuszczałem — zawołałem nareszcie, lecz w tej chwili Gustaw rzucił się na mnie. Odepchnąłem go silnie, lecz on przyskoczył znowu i nagle poczułem pięść jego na mojej twarzy. Wtedy i ja straciłem przytomność, schwyciłem go za gardło, lecz on szarpnął się silnie i obaj stoczyliśmy się w urwiska. On był podemną, gdyby nie to, mnieby jego los spotkał. Po chwili poczułem, że ktoś podnosi mnie ostrożnie, otworzyłem oczy i ujrzałem ciebie, Fryderyku. Tyś mi pomógł się wydostać na górę i kazałeś mi jechać do domu, byłem jak nieprzytomny, nie zdziwiłem się więc wcale, widząc obok siebie konia i starego Bernarda. Był to jedyny świadek, Bernard przeprowadzając konia, wysunął się w bok parku, tak, że zdaleka widział nasze postacie i giesty, widział jak Gustaw rzucił się na mnie i jak obaj stoczyliśmy się w przepaść. Pobiegł więc z koniem ku nam i pomógł ci wydobyć mnie na górę. Jego też świadectwu zawdzięczamy nasze ocalenie. A ty Fryderyku, przypuszczałeś, że ja podniosłem zbrodniczą rękę na Gustawa i chciałeś złamać życie sobie i tej biednej kobiecie przez źle zrozumiane poświęcenie“.

— Cicho, Janku, cicho — szepnęła młoda kobieta, zapomnijmy o tem, co było, wszak przed nami całe życie pracy i szczęścia stoi otworem. Patrzmy więc naprzód, zawsze naprzód.

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Dokończenie.).

I tak, dni parę ciągnąc, to odpoczywając, przedzierali się przez jary i wądoły, to się gramolili na kamieniste zbocza, wstępując tu i owdzie do jakiego burjackiego szałasu, zanim się oczom ich nie pokazała rozkoszniejsza i bardziej malownicza dolina „Czykoju".

Tu świat był inny, jakiś zieleńszy, cudne panoramy zaczęły się pokazywać, lecz oni, uciekający, oglądali się tylko, jakby tu przejść wszerz dolinę, w której widniały sioła z osadnikami. Przejść ją zawsze muszą, ażeby się potem módz dostać ku granicy wolnej Mongolszczyzny. Ach! żeby to przejść granicę carską! być po za ziemiami caratu! Oni tak tego pragnęli! Ale Nuchim przerażał się na samą myśl taką. On tego chcieć nie mógł: na ziemi sybirskiej, nieszczęsny, pozostawia swoich!

Błagał przeto, zaklinał towarzyszy — groził nawet, że nie pójdzie dalej krokiem... wolałby raczej głowę o pień drzewa roztrzaskać, niż żeby miał iść w świat jakiś, który go całkiem ma od swoich oddalić. Wpadał już nawet w dawniejsze rozdrażnienie, ciskając wzrokiem, który obecnych zaczął przerażać. Lecz go uspokoili zapewniając, że granicy nie przejdą, przejść jeno muszą dolinę Czykoju, aby tą samą nie wracać drogą, którąby nazad do huty zawieść ich mogła. Oni go jednak tylko okłamywali, mieli bowiem zupełnie chęć najszczerszą znalezienia się po za granicą carską!

Ale i tak musieli tu przeczekać, będąc bardzo osłabieni. Pod noc zajdą przeto do jakiej wsi Starowierców, których tu w tej dolinie jest więcej: muszą się o drogi różne wypytać. Starowiercy zaś ich nie zdradzą, gdy poznają, iż oni ani są przyjaciele prawosławia, ani brodjagi. U nich dowiedz się, co dalej czynić i którędy się dalej udać.

Tak więc, kiedy się już miało ku wieczorowi, zaczęli się ostrożnie zbliżać ku osadom ludzkim w dolinie Czykoju. Nuchim uważał podejrzliwie, dokąd oni się zwracają, lecz i on pojmował, iż wypada im koniecznie poprzód o drogi wszelakie się wypytać, zanim dalej ruszą. Unikać na każdy sposób muszą tutaj osad burjackich, jak i osiedleńców moskiewskich. Zbliżając się przeto do wsi zamieszkałej przez Starowierców, posłali poprzód na przeszpiegi jednego z pośród siebie, sami zaś przeczekają tymczasem pod zasłoną gęstwiny.

Niebawem wrócił wysłany z wieścią pomyślną, że się zeszedł właśnie z jednym z osiedleńców polskich, który pochodził z powstania listopadowego. Ten go oświecił, że wieś zamieszkała jest przez Starowierców, trudniących się gospodarstwem rolnem i chowaniem trzód, wielu jednak zajmują się handlem i kontrabandą, jak po większej części osady nad Czykojem. Mieszkają tam również pojedyńczo osiedleni wygnańcy polscy, a nawet poniewoli i posieleńcy tatarscy a czerkiewscy. Lecz unikać należy gęściej osiadłej części wsi — jeno ruszać dalej w górę rzeki. Tam wskazał im chaty w których mogą być zupełnie bezpiecznymi. Co zaś do granicy od mongolskiej strony, to mówił, że przejść jej nie podobna, naraziliby się na największe niebezpieczeństwo, gdyż ona gęsto obsadzoną jest kozakami i regularnem wojskiem — a zresztą, gdyby im nawet udało się przejść ją, w takim razie znaleźliby się wśród ludności nieprzyjaźnej, którąby ich w ręce Moskwy wydała.

Wygnańcy zafrasowali się tem nie mało — Nuchim zaś teraz im wierzył, będąc rad, iż muszą na pewno odstąpić od wszelkiej myśli przechodzenia granicy. Lecz inni nie byli jeszcze pewnymi, jak ninie sobie postąpić. Ponieważ jednak koniecznie potrzebowali wypoczynku i posiłku dla przyjścia do sił, ciągnęli zatem, jak im powiedziano, ku górnej części doliny, węższej a dzikszej.

Kiedy doszli niebawem do chat im wskazanych, posłali naprzód dwóch z pośród siebie, aby się zabezpieczyć, czy też ich tam przyjmą.

Wkrótce wrócili wysłani, przynosząc wieść, że zastali we dwóch wskazanych im chatach Starowierców, którzy zrazu przyjęli ich z pewną obawą, a nawet i niechęcią, ale gdy się dowiedzieli, co oni za jedni, i że nie są ani prawosławni, ani też brodjagi, lecz tylko nieszczęśliwi skazańcy, ratujący się ucieczką, zgodzili się na to, czego od nich wymagano, byle tylko ich przez nieostrożność jaką nie narażono na następne prześladowania, a przed świtem jeszcze opuścili ich mieszkanie.

Wygnańcy, podzieliwszy się, weszli do dwóch chat, przyjmując gościnność gospodarzy. Ponieważ

to były domy dostatnie, zagospodarowane, mogli się przeto dobrze posilić. Prócz tego ważniejsza, że się wywiedzieli o granicy i stosunkach istniejących w tych stronach. Potwierdzono im to samo, co dopiero słyszeli. Wygnańcy teraz musieli na prawdę zmienić swój zamiar. Nuchim, ciągle podejrzywający, i pełen obawy, by nie przeszli granicy, był w jakimś stanie niezwykłym. Napadały go nawet chwile, w których prawie zaczynał majaczyć, wołając, iż otoczony ludźmi, co pragną jego nieszczęścia.

Wypocząwszy przez noc tę, zabrali się wygnańcy o zmroku jeszcze rannym do dalszego pochodu. Gościnni gospodarze obdarzyli ich na drogę, czem mogli — i ruszono niebawem dalej.

Nuchim zrazu mocno się przyglądał, którędy oni idą, zawsze jeszcze nie dowierzający. Ze słów bowiem gospodarzy poznał, w którym to kierunku wiedzie droga ku granicy, dla tego nieraz przystawał zamyśliwając się, cały drżący, pełen strachu niewypowiedzianego, lecz gdy już został pewnym, że towarzysze inną obrali drogę, dygocący cały, szedł w gorączkowym prawie stanie.

Dokąd zaś przyjdzie się dalej obrócić, nie wiedzieli jeszcze wygnańcy, oprócz tego, że muszą jak najprędzej opuścić strony, które dla pobliża granicy bardziej mogą być dla nich niebezpiecznemi. Bez zwłoki muszą zatem oddalić się, w przeciwnym od granicy kierunku — i to spiesznie, bo i tak może się rozejść pogłoska, iż uciekający właśnie katorznicy pojawili się w dolinie Czykoju.

Wracać zaś w tym samym kierunku, w którym tu doszli, było teraz niepodobieństwem, gdyż mogła tędy właśnie nadybać ich pogoń, którą z pewnością za nimi wysłać musiano w różne strony. A zatem nie ku północy, lecz we wschodnim udali się kierunku, w okolicę dzikszą i bardziej niedostępną.

XXVI.

Przez dni kilkanaście walczyli z życiem i śmiercią w tej okropnej dziczy górskiej, z której wydobyć się nie mogli, ze sił padając to błądząc. Nieraz byli już w takim stanie, że dalej iść nie mogli. Do tego niepokoił ich Nuchim, który z wielkiego wysilenia, a niemało będąc rozdraźnionym, wpadał chwilami w stan swój dawny, w którym miewał niebezpieczne przywidzenia. Zdawało mu się wtedy, że widzi coś w przestrzeni, czego drudzy wcale nie widzieli, oczy zaś jego biły wtedy dziwnym blaskiem. Nieraz znów spieszył się, jakby go co goniło, i zdawał się być zalęknionym... Atoli przekonawszy się, że nic nie ma prócz lasu i dziczy i wielkiej głuszy, ciągnął dalej z gorączkowem wysileniem, z uporem milczący, jak gdyby myśli jego były gdzieindziej...

Nareszcie wydobyli się z tej dziczy górskiej, przedzielającej doliny Czykoju a Ingody dążącej ku północnemu wschodowi. Kiedy się pod nimi w dole pokazała wązka i samotna dolina Ingody, odetchnęli, radzi, że teraz przynajmniej widząc, gdzie się znajdują, będą mogli zorjentować się w pochodzie. Wtedy i Nuchim, rozglądając się do koła, przyszedł powoli do siebie i zaczął trząść się ze wzruszenia, bo dolina ta wiedzie w kierunku do jego Czyty. Zachowanie się jego było coraz gwałtowniejszem, chwilami zostawał, jak gdyby na prawdę w ekstazie.

Wygnańcy posuwali się ostrożnie zboczami po nad głęboką, zapadłą doliną, ale teraz wiedzieli przynajmniej, gdzie są, i że już kierunku nie zmylą. Zamiarem ich było, oddalić się jak najwięcej od stron, z których uciekli, i osiąść gdzie potem daleko, zanim któremu z nich nie uda się wrócić tam, dokąd zamierza.

Tymczasem posuwali się ostrożnie zboczami, choć tu dotąd osad żadnych nie było. Wszędzie samotność i pustosz. Chwilami musieli spoczywać, dłużej to krócej, choć Nuchim ich gonił błagając, by szli dalej, mimo że sam ciągnął tylko z wielkiem wysileniem, ale nie chciał tego widzieć.

Na trzeci dzień pokazywały się już samotne w wertepach szałasy, to na zboczach kamienistych na kształt gniazd jaskółczych, nader pierwotnej natury, w których nawet posiłku nie można było dostać. Później pokazały się ułusy burjackie, ale takie dzikie a wstrętne, że się tam bali do nich wstępować; zdybywani zaś mieszkańcy wyglądali raczej na zbójów, niż na osady z mieszkańcami.

Następnie pokazała się wieś z osiadłymi Burjatami. Tę mieliby ochotę również minąć, a Nuchim groził nawet, iż tam nie wejdzie, bo to rabusie, oczy zaś jego, dziwnym blaskiem świecące, wyrażały jeno przestrach. Lecz od dwóch dni zgłodzeni, musieli tamże wstąpić. Siedzieli tam Burjaci Buddhaiści. Miny ich tego były rodzaju, że wygnańcy nieco się posiliwszy, mieli ochotę jak najprędzej osadę tę opuścić, Nuchima zaś z ledwie tu utrzymać zdołano. Zdawało się wygnańcom, jakby niektórzy nawet z tych Buddhaistów nie najlepsze mieli ku nim zamiary. Widocznie się nawet zmawiali.

W drugiej napotkanej osadzie spostrzegli zdała błyszczące karabiny. Z zrazu oniemieli z trwogi, poznawszy, że to będzie pogoń za zbiegami, rozesłana w różne strony. Odwrócili się też czemprędzej kie-

rując ku stronom bardziej zarosłym. Lecz nie mogąc zwlekać, niepewni, czy już ich nie ujrzano, postanowili czemprędzej, rozdzielić się, uchodząc w różne strony, ażeby ich wszystkich razem nie dopadnięto. I nie mogli inaczej postąpić... Jeśliby ich bowiem nie spostrzegli teraz żołnierze, w takim razie od mieszkańców się dowiedzą, że tu ciągnęli tędy tacy a tacy ludzie. — Muszą się przeto teraz ukrywać rozdzieleni, a jak najprędzej od miejsca tego oddalić.

Nuchimowi przypadło teraz uchodzić z dwoma towarzyszami. Musiał drapać się z pospiechem i wielkiem wysileniem, po wertepach, to stokach kamienistych, z sił upadając, popychany nieraz przez towarzyszy, gdyż stan jego nie pozwalał, aby się sam mógł kierować... zwłaszcza, że trzeba było dążyć ku jakim gęstwinom.

Tak błąkając się i uchodząc doczekano nocy. Ponieważ z sił już opadli wszyscy trzej, musieli przycupnąć w wąwozie, wstrzymując prawie oddech, ciągle przez całą noc nasłuchując. Noc ta była straszna i pełna trwogi.

Lecz gdy nic nie słysz[illegible] — i zdało się przechodzić już niebezpieczeństwo, wyszli wszyscy trzej ostrożnie z ukrycia, zwolna dalej się posuwając.

Aż tu... na jednym zakręcie... nagle zbledli... Nuchim stanął, jakby przykuty... Wyszło bowiem z za pnia dwóch żołnierzy z wymierzonemi do nich lufami....

W przestrachu wielkim dwaj towarzysze Nuchimowi, skoczywszy w bok, zaczęli czemprędzej uciekać.. Jeden z żołnierzy wypalił za nimi — i zaczął gonić... Nuchim ruszył się chcąc również uciekać... Lecz drugi żołnierz, mierzywszy lufą do niego, krzyknął: — *Pastoj!* bo wypalę!

Więzień stanął, nie mogąc się ruszyć... żołnierz, zbliżywszy się do niego, zawołał: — Mam cię!... Teraz pójdziesz ze mną, a uważaj, żebyś nie próbował uciekać, bo cię ubiję, jak psa. Widzisz tamtego, jak gryzie ziemię?... drugiego dogoni mój kamrad. Ale ty mi nie wymkniesz się, bo mam na ciebie sposób...

Mówiąc to wyjmował sznur, i zaczął go wiązać. Nuchim poznał, że już się z rąk tych nie wyrwie.

Ciągnęli teraz razem w kierunku osady — żołnierz z bronią, i więzień w pętach, z wyrazem bezgranicznego zwątpienia na twarzy.

Droga wiodła przez wertepy i dzicz lasową.

Gdy się więcej już rozwidniało, a Nuchim mógł podnieść wzrok na żołnierza, wstrząsł się, jakby się przestraszył lica carskiego sałdata.

— Ha! boisz się, stary?... Chciałbyś mnie podejść... taj może przekupić?... O! ja-ci nie z tych, co się dają przekupywać... Ja wyszedł, nieboże, z innej szkoły .. i znam moją powinność.

— I dokąd... mnie zawiedziesz... ty... żołnierzu? — odezwał się więzień drgający cały.

— Dokąd? — odmruknął żołnierz. — Do tego tam sioła, które widzisz, stary...

— A potem? — zapytał blady.

— Potem?... No, no, dźwigaj się prędzej, stary. A jeśli nie zmożesz, to ja ci kolbą pomogę... Bo niechno kamrad z tamtym wróci, to zajdziem jeszcze do Czyty.

— Do Czyty? rzekł z dziwnem wzruszeniem spętany.

— A! tak... To cię zadziwia, stary?... Nie bój się, tam ci dadzą radę. Tam, niechaj piszą, kto ty i co za jeden... Moja — złapać i nie puścić.

Głos ten przejmował do głębi więźnia, który zaczął się żołnierzowi bliżej przypatrywać... Lecz cofnął się drżąc cały... Potem dodał:

— To ja pójdę... do Czyty?... Ach! żołnierzu mój... Powiedz mi, jeżeli ty znasz Czytę, kto tam jest?... Nu, czy tam jest ona...

I tu urwał, jakby się lękał odpowiedzi.

— Czy ja znam Czytę? Ta, jakby ja nie znał?... Nie bój się! Ja tam trafię... Przecie gadają, że ja ztamtąd miał być rodem?...

— Ty... mówisz? — zawołał więzień wzruszony.

— Ale co mnie to obchodzi! — odmruknął żołnierz. — Czy ja znał kiedy ich? Ja ich nie znał. Ta, na co mi oni!

Więzień zaczął się mocniej w niego wpatrywać dygocąc cały. Potem dodał drżącym głosem:

— Tobie... będzie... na imię... Słuchaj! na Boga! Tobie będzie na imię...

I nie mógł dokończyć, strasznie się trzęsący.

— A na co ci tego?... No, Aleksij. Wiedz, że cię zawiedzie Aleksij, z drugiej kompanji, trzeciego bataljonu — dodał ze złośliwym sarkazmem.

— Ty — Aleksij? — odezwał się więzień wpatrując w żołnierza. — Ty się nie nazywasz... Boże mój!... wcale nie... Dawid?...

— Co? Dawid? — zawołał z gniewem żołnierz.— I ty się ośmielasz przezywać mnie tem przeklętem „Dawid?"... Ha! dwom za to... toć ja zęby wybił... Rozumiesz?... Ale to byli kamrady, jeszcze ze szkoły naszej w Irkucku... To ino dla nich tyle... Ale dla drugich...

— Ty byłeś w Irkucku?... Może i w Werchnoudyńsku?... I dodał łagodniej a z wielkiem uczuciem: — Nie prawda, żołnierzu... tyś z Czyty?... Twój ojciec... zwał się... Nuchim? — rzekł ciszej trzęsąc się cały.

— Co? I ty to gadasz?... Czy ty w zmowie z

tamtym?... A choćby i z Czyty?... I co mi za to zrobisz?...

— Ach! to ty?... Synu mój! ty Dawid!... Nie poznajesz ojca?

I chciał się rzucić na niego ze wzruszeniem gwałtownem.

Żołnierz się zdziwił i cofnął.

— Co ty gadasz, stary? rzekł ponuro i zamyślił się.

— Ja znalazłem syna — a ty ojca?...

Nastała chwila milczenia. Potem rzekł żołnierz:

— Ojca?... Ta, kto moim ojcem?

— Ja to, synu, którego widzisz, kochanie moje! Ty wiedziesz dziś ojca własnego. Boże, co za wypadek! Nie! to dopuszczenie Twoje, Boże nasz!

— O! ty mnie nie oszukasz, stary... Chciałbyś się może wymknąć?... Ale ojciec, nie-ojciec, ja carski sałdat...

— Boże! ciebie wzięli wtedy i wydarli ojcu...

— No, co z tego!... To nie do mnie należy — mruknął żołnierz. — Ja cię tam zaprowadzę, dokąd jest rozkaz.

— Ale synu! mój Dawid! wierz mi, że ja ten sam... Nuchim .. twój ojciec!... Ja klnę się na wszystkie świętości! na Boga Izraela!... Ja nie kłamię! O! Boże! Daj mu wiarę, by on uwierzył ojcu — zawołał z płaczem. — Gdyby mnie nie poznał, jabym go tu drugi raz stracił!

— No, no — rzekł zimno żołnierz. — Nie klnij, i nie płacz, stary!... Ta, co mi do tego! Jeżeli ty naprawdę mój ojciec... co mi do tego!... No, każdy ma ojca...

— Ach! — jęknął z bolu nieszczęśliwy ojciec.

— No, toż i ja mieć musiał — mruczał dalej z niechęcią żołnierz. — Ale ja go nie znał... A zresztą, co mi tam w regimencie ojciec! — Ja — carski.

— Boże! zlituj się nad nami obydwoma! — zawołał w rozpaczy ojciec. — Daj jemu przejrzeć i pokochać ojca swego! Bo on mnie tem dobije... Ha! mnie się ćmi w oczach — wołał więzień zrozpaczony.

— No, no, nie gniewaj się, stary... Wiedz przecie, że służba po nad wszystko... A teraz musimy czekać na tamtego... Może go przywiedzie żywego... No, może obu zabije.. A co mnie do tego!

— Ach! Boże! co oni z niego zrobili!... Co oni z dziecka mego zrobili!...

Potem się zwrócił do niego błagając rozpaczliwie:

— Ale... rozwiąż mnie, synu... z pęt tych!... One bardzo mnie bolą, bo mnie syn skrępował niemi... I uciekajmy obaj czemprędzej!

— Uciekać?... Po co uciekać?... Ja włożyłem na ciebie sznury, stary, żeby ty nie uciekł... Gadasz, że ty ojciec?... Albo co ojciec?... Pokaże się... Ale co mi tam familja?... Car każe — sałdat ma swoją komendę, nie ojca. Taj nie chowa karabin przed bratem, ni ojcem... No, każą skoczyć w ogień, w wodę... taj czemuby nie miał strzelać do drugiego?

Ojciec wpatrzył się w niego dziwnym wzrokiem i czuł już zamęt w głowie. Żołnierz prawił dalej.

— Każą... to czy sałdat może nie słuchać komendy? I ty rozumiesz, stary, że kazano was łapać, przecie nie na to, aby puszczać?... Ale teraz.. zaczekamy jeszcze na kamrada. Może on i tamtego przywiedzie.

— Boże! Co oni z niego zrobili!... Ale... nie... To nie może być... syn mój... nie!... Potem dodał chwiejąc się: — Ćmi mi się... Co to jest!... Czy na prawdę... już wieczór nastaje... A tu drzewa... Ha! Czego one chcą?...

I wpatrzony w przestrzeń, wołał: — Uchodzić! One się zbliżają. Ach! po co? Czego chcecie?... Co ja winien?... Ach! walą się na mnie... wszystkie..

I chwiejąc się coraz bardziej, upadł na ziemię.

— Stary! daj pokój temu! i nie bredź!... Bo choć ty ojciec — ale ja carski sałdat... Taj na prawdę, gotów tu leżeć... Co ja bo z nim zrobię?... Jak go zaciągnąć... Ot, wraca kamrad...

Drugi żołnierz wracał w tej chwili ze spętanym a rannym więźniem, którego poganiał kolbą — trzeci więzień widocznie już nie powstał.

I zaczęły oba sałdaty ciągnąć swoich jeńców. Tamten wiódł obcego, a tu syn silił się ruszyć ojca.

Po dłuższej chwili ocucono nieszczęsnego ojca, lecz on teraz całkiem już od zmysłów odchodził.

Gdy już następnie i innych połapano, po niejakim wypoczynku pognano wszystkich dalej pod konwojem. Lecz nieszczęśliwy ojciec na dobre majaczył, błagajac zawsze syna, żeby mu pęta rozwiązał... Chwilami rzucał się pod wpływem mar wylęgłych w mózgu rozstrojonym.

I dalej już na wozie przywieziono do śledztwa zupełnie już obłąkanego.

Musiano też go zamknąć w więzieniu pomiędzy skazańcami zostającymi w obłędzie.

Gdyby był wrócił do przytomności, poszedłby dalej w katorgę — lecz nieszczęśliwy nie powrócił już do przytomności. Umysł jego pozostał w wiecznym mroku.

I gdy go puszczono następnie na wolność, chodził jeszcze długo po Sybirze, żebrząc, a zawsze szukając syna swego. Każdemu zaś, którego zdybał, przyglądał się uparcie, czy to nie syn jego, nie tracąc nadziei, że go odnajdzie.

OFELJA.

HISTORJA INSERATOWA.

Nie trzeba jednakże nigdy wątpić o dobroczynnym postępie ludzkości. Wśród przemiany pojęć i stosunków, wykwita z tej wiary zawsze jakaś pociecha dla jednostek, pognębionych przez stare porządki, które się do ich upodobań przystosować nie chciały. W chwilach, gdy czarny pesymizm strąca już taką ofiarę bez względności świata w otchłanie *Weitschmerzu*, często zjawia się na widowni życia jakaś nowość, choćby importowana, która strapionym i zbolałym ukazuje się w ponętnej postaci gwiazdy zbawienia, pociągającej oko i duszę złotym promykiem powracającej nadziei.

Filozoficzne te refleksje przemknęły w umyśle pana Zefiryna Pechowskiego, gdy przewertowawszy ostatnią stronę Kurjera, odłożył pełen intrygującej treści arkusz papieru i szerokiemi krokami mierząc pokój, przetrawiał w sobie doznane wrażenia i świeżo zasiane plany.

Lektura ogłoszeń, w których i sam bywał czynnym współpracownikiem, była jednym ze środków operacyjnych pana Zefiryna, nigdy jednakże nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak w chwili, która stanowi właśnie punkt wyjścia dla opowieści niniejszej.

Jest to epoka aklimatyzacji na naszym gruncie tak zwanych ofert małżeńskich, które tyle zmartwienia sprawiły w sferach moralistów antikurjerowych, a tyle radości wśród znudzonych libertynów obyczajowych, zawiedzionych panien i całego zastępu potrzebujących jakiegokolwiek sposobu do życia.

Pan Zefiryn pilnie studjował tę wspaniałą, jak mówił, rubrykę — zdawało mu się bowiem, że jeśli gdzie, to na tej drodze powinien koniecznie zrobić karjerę; wysłał nawet ofertę dla jakiejś „Niny“, a niezależnie od tego wystylizował własny inserat, w którym bez przesady — jak sądził — przedstawił sytuację i osobę własną.

Niechaj ta rekomendacja posłuży i nam za konterfekt bohatera.

Powiedziano tam, jako „kawaler lat 34, szlachcic, inteligentny, były właściciel dóbr, obecnie posiadający niezależną pozycję w mieście, zrażony do płytkich wymagań i form salonowych, postanawia na tej ponętnej nowością drodze wyszukać sobie towarzyszki życia, panny lub wdowy bezdzietnej, w wieku od 18 do 28 lat, przystojnej, inteligentnej, z dobrej rodziny i z odpowiednim posagiem. Jest brunetem, o regularnych rysach twarzy, wzrostu „słusznego“, nosi krótko strzyżoną brodę, temperament ma stanowczy, przy łagodnem obejściu i dystyngowanych manierach. Oferty wraz z fotografiami należy adresować: Warszawa, *poste-restante*, pod mianem „Apollo“. Najściślejsza dyskrecja zapewniona“.

Rekomendacja ta potrzebowałaby ze stanowiska prawdy niejakiej korekty, jakkolwiek autor własnego portretu nie poczuwał się do kłamstwa. Lata pobytu na tej niewdzięcznej ziemi, która nie umiała go należycie ocenić, zredukował wszystkiego o 4 czy 5, a komuż taka bagatela mogłaby szkodzić; co do innych szczegółów, pan Zefiryn, zastanawiając się nad swym anonsem, tak sobie rozumował:

— Szlachcicem przecież jestem — i to nie byle jakim; inteligencji nikt mi chyba nie zaprzeczy; mam prawdziwie paryski akcent, a reszta — mniejsza o resztę! W wincie mało spotkałem równych; rzecz to zaś wiadoma, że umiejętność ta nie chwyta się ciasnych umysłów.

— No, a jakże tam z tą niezależną pozycją? — odezwał się jakiś głos tajemniczy, w którym pan Zefiryn poznał coś w rodzaju skrupułów sumienia.

— Z niezależną pozycją? A ciekawa rzecz, od kogo ja jestem zależny?

I miał racją pan Zefiryn. Oprócz od powodzenia przeróżnych subtelnych kombinacyj, za pomocą których pokrywał on swój budżet — ze sprytem, godnym zazdrości, na przykład włoskiego ministra finansów — nie był on zależnym od nikogo, ponieważ nie czuł na sobie ciężaru żadnych obowiązków; nie był zależnym nawet od swoich długów, ponieważ ich nie płacił.

Przeprowadziwszy w myśli powyższe dowodzenie, pan Zefiryn w lustrze sprawdził skreślony do anonsu rysopis i uznał go za sprawiedliwy, w czem opozycji nie będziemy mu czynili.

— Tylko ten łajdak Flanela! — rzekł sam do siebie, a na czole zaległa mu chmura.

Z tym Flanelą to istotnie ciężka była sprawa. Pan Zefiryn szczycił się, że mógłby cały batalion sformować ze swoich wierzycieli, a jeden tylko pan Samuel Flanela samem wspomnieniem wprowadzał go w zły humor.

Byli to dwaj godni siebie przeciwnicy; a jakkolwiek dotąd żaden nie mógł się pochlubić stanowczem zwycięstwem, pan Zefiryn jednak musiał przyznać, że w tej kampanji doznał niejednej dotkliwej porażki. Dzięki Samuelowi, przez pewien czas mieszkał on równocześnie w trzech miejscach i zmuszony był nie płacić aż trzem kamienicznikom — i ta jednakże taktyka okazała się bezskuteczną. Nakoniec, zredukowawszy ekonomiczną sytuację swoją do reguły *omnia mea mecum porto*, wprowadził się do jednego z przyjaciół i w tym azylu urągał nieprzyjacielowi, który, potrzykroć wyeksmitowany przez właściciela lokalu, będącego schronieniem Zefiryna Pechowskiego, stracił nareszcie możność wywierania na dłużnika bezpośredniego nacisku.

Było to tem boleśniejsze dla zacnego pana Flaneli, że wynalazł on nową kombinację do kompromisu między interesami dłużnika, a własnem wyrachowaniem i napróżno usiłował skłonić pana Zefiryna do odbycia wyczerpującej konferencji. Uparty dłużnik na listy nie odpowiedział, heroiczną zaczepkę na ulicy odparł wymowną prezentacją imponującej laski, jednem słowem twardym był jak mur — rozumie się nie współczesnej kamienicy warszawskiej.

Wszystko to, z okazji przeglądu autobiograficznego, uprzytomniło się w umyśle pana Zefiryna i wywołało niesmak, pod wrażeniem którego tem silniej pragnął raz już wydostać się z obecnej „niezależnej pozycji".

— Ot, żeby się tylko powiodło złowić jaką głupią, a pierzastą gęś, to wszystko nareszcie się skończy!

W ten sposób dodając sobie otuchy, odesłał skrypt gwoli ogłoszenia narodowi i zabrał się do wertowania świeżo przyniesionego numeru Kurjera. Zaczynał zwykle tę czynność od ostatniej stronicy, gdzie dzisiaj czekała go prawdziwie sensacyjna wiadomość, w formie inseratu następującej osnowy:

„Panna, lat 22, przystojna i wykształcona, posiadająca 80 tysięcy dolarów, powróciwszy z Ameryki po stracie rodziców, którzy tam za młodu wyemigrowali, pragnie poślubić" i t. d.

Dalsze szczegóły, odpowiadające zupełnie kwalifikacjom naszego przyjaciela, zwłaszcza też wzmianka, iż majątek nie jest wymagany, zadowoleniem i błogą nadzieją wypełniły jego duszę. Bez namysłu przystąpił do skreślenia oferty pod adresem „Ofelja" i pospieszył własnoręcznie złożyć ją według danej wskazówki.

Odtąd rozpoczęły się dla pana Zefiryna długie chwile gorączkowego wyczekiwania, które tak dalece absorbowało jego uczucia i myśli, że nawet w grze, nad którą zawsze — jak pełen talentu strategik — panował bezwzględnie, teraz popełniał błędy, wprawiając w zdumienie partnerów.

Przez cały tydzień czasu cierpliwość naszego bohatera skazaną była na ciężką próbę, po której wreszcie przyszła chwila nagrody za bezsenne noce i wytrwałą wierność raz powziętym zamiarom. Nagroda ta zjawiła się w postaci wonnego bileciku, którym upragniona Ofelia, w nieposzlakowanej francuzczyźnie, prosiła pana Zefiryna o przybycie w oznaczonym czasie do hotelu X., celem zabrania bliższej znajomości.

Odczytawszy tak mile brzmiącą korespondencję, pan Zefiryn nie był w stanie pohamować nadmiaru radości, której ulegając bezwiednie, puścił się z nieopisanym zapałem w pląsy i spiewając, cieszył się jak dziecko, zapomniawszy zupełnie o obecności drzemiącego na szezlongu współlokatora i przyjaciela swojego.

Zbudzony tym szalonym wybuchem wesołości, pan Zenon zerwał się na równe nogi.

— Co się stało u licha! zwarjowałeś nagle?

— Nie, tylko jestem wesoły — odparł, stając z pewną siebie miną naprzeciw towarzysza.

— Że wesoły, to widzę, ale czego? Ciągnienia dziś nie było, wszystkie zaś spadkodajne ciotki, o ile wiem, już dawniej ci wymarły?

— Co tam ciotki, niech żyje Ameryka! Proszę cię, powtórz za mną ten okrzyk

— Zgłupiałeś do szczętu. Czego mam krzyczeć? Przecież chyba nie rewolucja brazylijska, czy argentyńska przyprawiła cię o utratę rozumu.

— Co mi tam rewolucja! Jak widzisz, jestem usposobiony nader pokojowo, tylko od jednego żądania nie odstąpię: musisz ze mną wznieść okrzyk na cześć Ameryki!

— Dajże mi spokój!

— Nie dam, musisz!...

Pan Zenon zaczął sam podlegać wesołości przyjaciela.

— Wytłómaczysz mi to wszystko?

— Wytłómaczę.

— Niech żyje Ameryka! — rozległ się duet barytona z basem, poczem pan Zefiryn wtajemniczył kolegę w cały stan rzeczy, wieczorem zaś „paczka“, zespolona ściślejszem zaufaniem, toastowała za pomyślność amerykańskiej wyprawy Zefiryna, co nie przeszkadzało bynajmniej, że ten i ów doznawał pokusy urządzenia przyjacielowi konkurencji.

. . . .

Miotany sprzecznemi uczuciami nadziei i obawy pan Zefiryn pukał do wskazanego numeru w hotelu X.

— *Entrez!* — odezwał się z wnętrza piskliwy głos, którego brzmienie podziałało na nerwy przybywającego, jak odgłos przesuwanego po szkle paznogcia.

Przestąpił próg, nie zwracając nawet uwagi na dwie postacie, które, wysunąwszy się cicho od pieca, zajęły stanowisko przy drzwiach, machinalnie przez wchodzącego zamkniętych.

W tej chwili bowiem bezmiar zdumienia opanował naszego bohatera i ubezwładnił go kompletnie siłą piorunującego wrażenia.

Majestatycznie wyszedłszy z sąsiedniego pokoju, przed panem Zefirynem stanął we własnej osobie... pan Samuel Flanela.

— No, jak się pan dobrodziej ma? — zagadnął z olimpijskim spokojem.

Pan Zefiryn milczał, jakby skamieniał nagle w nieoczekiwanej sytuacji.

— Idź precz, widmo? — wyszeptał po chwili drżącym, przyciszonym głosem.

— Na co ja mam iść precz? Ja zapłaciłem za numer i za anons, żeby się tylko z panem zobaczyć, a teraz mam iść precz?... Taki głupi Flanela nie jest!..

— Co to wszystko ma znaczyć!

Z temi słowy pan Zefiryn rzucił się na fotel, zacisnąwszy zęby w rozpaczy.

— Co to ma znaczyć? To ma znaczyć, że ja chciałem zrobić dobrze i panu i sobie, a jak pan wcale nie chciał ze mną gadać, to ja sobie wymiszlałem, co na takie amerykańskie blagie pan dobrodziej napewno poljeczy. To tyle ma znaczyć...

Pan Zefiryn popadł w zupełną apatję. Zdawałoby się, że schwyci za gardło przebiegłego Samuela, który sam żywił podobne przypuszczenie i na wszelki wypadek, na to niezwykłe *rendez-vous* zjawił się w towarzystwie syna i zięcia, stojących teraz w rezerwie u drzwi pokoju.

Atoli nieprzyjaciel, tak sprytnie zwabiony w zasadzkę, nie myślał ani wydawać walki, ani próbować odwrotu.

Jak powiedziano wyżej, był ubezwładniony, prawie nieświadomy siebie. Zdawało mu się, że ze szczytu uroczych marzeń spada w ciemną otchłań nicości, żegnany szyderczym śmiechem przedwcześnie wtajemniczonych w świetne zamiary kolegów.

Jako dobry psycholog, pan Samuel pozwolił swemu adwersarzowi odetchnąć i wrócić do jakiej takiej równowagi. Po dłuższej dopiero pauzie przemówił tonem życzliwej perswazji:

— Pan potrzebujesz się nie gniewać, panie Pechowski; że pan mnie jest winien tych trzy tysiące, to wcale nic nie szkodzi; ale żeby pan przyszedł do majątek, a ja odebrałem swojej należności, toby także nic nie szkodziało.

— Czego chcesz nareszcie odemnie, straszny człowieku? — przemówił znękany Zefiryn. — Mów prędzej, albo daj mi święty spokój.

— Niech pan tylko będzie cierpliwy, ja zaraz powiem wszystkiego. Pan pamięta moje szostre, Chanę, co handlowała u pańskie mame w Rzodkowicach?

— Nie pamiętam. Niech kark skręci razem z wszystkimi, co handlowali wtenczas, co handlują dzisiaj i co kiedykolwiek handlować będą!

— No, nic nie szkodzi, pan wtenczas był taki mały *purec*, to pan może nie pamiętać. Widzi pan te Chane, to una przyjechała z Ozorkowa i powiada, co ta pani Burakowska z Kapuścina, co już trzy lata jak owdowiała, to una bardzo rada ożeniłaby się z panem.

— Co, ta stara baba?!

— Co to za stara! A młoda to nie będzie stara? — tłómaczył pan Salomon. — A majątek czysty jak łza i wszystkiego dwa dżecki — to nic?...

Pan Zefiryn podniósł się i począł przechadzać, tocząc wewnętrzną walkę z własnemi myślami i pożądaniami. Kompromitacja wobec przyjaciół, oczekujących wiadomości o wyniku spotkania z Amerykanką, była niebagatelnym sukursem dla kuszącego Salomona. Pan Zefiryn wzdrygał się na samą myśl, że awantura, której był ofiarą, rozniesie się i zatruje mu życie przygniatającym ciężarem śmieszności. Wtedy to, śledzący uważnie wyraz jego twarzy, odezwał się znowu Flanela:

— Ja pana co powiem, panie Pechowski; ja już jestem taki ryzykant Ja panu dam *baares Geld* sto rubli na podróż. No? nie chce pan jechać do Ozorkowa?

Pan Zefiryn milczał.

— Wie pan co? ja nie żądam żaden dokument, ani żaden procent. Tylko mi pan napisze rewersu, co jak pani Burakowska z panem się ożeni, to mi pan odda moich cztery tysiące.

— Jakie cztery?

— No, trzy albo cztery, pan będzie taki wielki *purec*, że to dla pana nie będzie żadna różnica

Może to wyda się tak zwanem naciąganiem sytuacji, atoli prawda historyczna zmusza nas do stwiedzenia faktu, że dalsza rozmowa rozwinęła się nietyle już w kwestji zasadniczej, ile na temacie kombinacyj cyfrowych.

Pan Zefiryn nie pokazał się już więcej w gronie przyjaciół.

Mówiono, że Amerykanka, zobaczywszy go, już nie puściła i uwiozła do kraju dolarów i reklamy. Tylko pan Samuel Flanela niecierpliwie oczekuje o nim wiadomości z pod Ozorkowa.

Hamlet.

NARZECZEŃSTWO.

Kochali się szczerze. Bruno Alessi miał poślubić Nunziatę. A dziewczyna nie była od tego Byli sąsiadami: z jednej i tej samej pochodzili wsi. Wydawali się dla siebie stworzeni, i rzecz by niewątpliwie doszła do skutku, gdyby nie przeklęte kwestje pieniężne, które wszystko zepsuły.

Skoro dwa wróble, albo dwoje jakichkolwiek stworzeń boskich zamierza zbudować spólne gniazdo, nie pytają się wzajemnie:

— Co mi wnosisz do domu! albo:

— Co mi dajesz ze swojej strony?

Nunziata, to znaczy, majster Nunzio Marza, jej ojciec, zebrał sporo grosiwa, w ciągu czterdziestoletniego istnienia sklepu korzennego, to też Alessi żądał tysiąca lirów posagu za dziewczyną.

— Nie paproszy się kury, zanim się ją zabije — rozumował Nunzio — Nie pozwolę się obdzierać ze skóry za życia.

— Nie bierze się żony bez posagu — odpowiedział Bruno Alessi — nie chcę się żenić na gołe słowo.

W rzeczywistości nie mówił tego osobiście, ale wyręczał się rodzicami, podczas gdy sam smalił cholewki do dziewczyny, uważając, że należy kuć żelazo póki gorące. Pokusa bywa silną, a niewiasta słabą. Powoli biedna Nunziata zapłonęła niby stóg siana, przyczem ucierpiał mocno sen i apetyt.

— Już ja cię nauczę rozumu — napominał majster Nunzio. — I nie szczędził łajań, docinków, a nawet razów, szarpiąc za rękę gwałtownie, gdy się zbliżała do okienka. Alessi jednak parlamentował w cichości, i z obu stron traktowano o posag, nie zapalając się zanadto.

Chłopcu nie w smak były te układy. Po pierwsze nie chciał długo czekać, po drugie wiedział, że rzeczy „które się zanadto przeciągają, nie kończą się nigdy". Marzył przytem o założeniu sklepiku na własną rękę, co mu się lepiej uśmiechało od służby w budzie ojcowskiej.

— Posłuchaj mnie — rzekł pewnego razu do dziewczyny — widzę, że starzy wodzą nas za nos dla własnej korzyści. To musi się raz skończyć.

Marza daremnie zamykał okno i szrubował okiennice. Djabeł nie spi, a Bruno Alessi był ponętniejszy od djabła. Na sprycie mu też nie zbywało; to też choć niby w obec wszystkich szedł z obuwiem na jarmark do sąsiedniego miasteczka, wieczorem, w chwili gdy majster Nunzio zasypiał, znajdował się przed okienkiem dziewczyny.

— Najświętsza Panienko! Co czynisz? — biadała Nunziata zasłaniając fartuszkiem oczy.

— Jeśli mnie kochasz, pójdziesz za mną.

Ale dziewczyna nie chciała ani słyszeć o tajemniczej ucieczce. Tłómaczył iż ułatwi to sprawę i przymusi Nunzia do zgody. Ona jednak była dobrem dzieckiem z krwi Marzów, a przytem stojąc od dzieciństwa za ladą sklepową, patrzała na niejedno, i wiedziała jak się kończą podobne sprawy.

Bruno niezrażony odmową, póty namawiał i główkę zawracał, aż jej się zrobiło gorąco i straciła tę resztkę rozumu, która jej pozostała. Okno było niskie; stanąwszy na palcach, dosięgał jej ramion. A ponieważ nie chcieli obudzić majstra Nunzio, który spał w przyległym pokoju, szeptali sobie coś do ucha, przyczem serce dziewczęcia topniało jak

śnieg podczas wiosennego słońca. Chłopiec pokazał jej krzywy nóż, który zawsze nosił przy sobie i zagroził tragedją.

— Zabiję się przed twoimi oczyma. Cała wieś zbierze się, aby krew moją oglądać. Wtedy będziesz zadowolona, bo się przekonasz, czy cię kochałem prawdziwie

A jak przytem straszliwą miał minę! Ach, to było okropnie!

Nunziata przestraszyła się i drżąc na całem ciele wołała:

— Najświętsza Panienko! Czegoż ty chcesz odemnie!

— Żebyś ze mną uciekła. A skoro mi odmawiasz, to znak, że mnie nie kochasz. Lepiej więc skończyć wszystko odrazu.

Ojciec cały dzień łajał, poszturkiwał dziewczynę, a kochanek całe wieczory wyprawiał sceny miłości i zazdrości.

W obec tego Nunziata przyszła do wniosku, iż tak dłużej być nie może. Spakowała najpotrzebniejsze manatki w mały węzełek i wymknęła się do Brunona, który czekał na nią w ustronnej uliczce.

— Przysięgnij mi tu zaraz przed Bogiem, że mnie zaślubisz.

Bruno przysiągł co chciała i jak chciała, mówiąc z jedną ręką wzniesioną ku niebu a drugą przyciśniętą do piersi:

Czy nie wiesz, że cię kocham bardziej aniżeli własne życie? I mybyśmy nie mieli się pobrać?

Następnie odebrał z rąk jej węzełek.

— Czy wzięłaś ze sobą kosztowności?

Nie wzięła kosztowności, bo nie wiedziała sama co czyni.

— Głupstwo zrobiłaś, duszko — odpowiedział Bruno. — Twój ojciec gotów je włączyć do cyfry posagowej.

Majster Nunzio, wstawszy nazajutrz z rana, ujrzał drzwi od pokoju córki na oścież otwarte. Chciał wołać: „Złodzieje, złodzieje!“ Ale ojciec Alessi, który właśnie przechodził koło jego domu, wciągnął go do pokoju i rzekł:

— Nie rób krzyku. Inaczej ośmieszysz się w obec ludzi. Córka twoja znajduje się w domu mojej kuzynki Meniki, szanowana i strzeżona tam, niby jaka królowa.

Biedny Marza padł na krzesło cały drżący. Kamrat Alessi poczęstował go niuchem tabaki, przysunął krzesło i zaczął:

— Pięknie.... Co teraz będzie?...

— Mówże — zakonkludował Marza krótko a węzłowato. — Ja wiem, co mnie uczynić należy.

— Stało się nieszczęście; nie przeczę. Młodzi narobili szkody, a my musimy płacić.

— Kto tłucze, płaci, kto ma, funduje.

Kamrat Alessi był wytrawnym lisem i zrozumiał o co staremu chodziło.

— Mnie tam ta cała historja ani grzeje ani ziębi — rzekł.

— Ani mnie.

— O, wybacz... Tu idzie o twoją córkę. O twoje ciało i krew.

— Przeciwnie. Nunziata jest małoletnią, twój syn pójdzie do więzienia.

— To to tak! A w takim razie życzę dzień dobry.

Ojciec Alessi powstał zwolna, jakby chciał pokazać, iż odchodzi nie mogąc dobić targu. Gdy dostrzegł jednak, że Marza siedzi nieruchomy, niby kloc drzewa, z bezczelną miną człowieka, który jest w stanie wyprzeć się swoich długów, przystanął na drodze, rzucając w formie pogróżki następujące słowa.

— A zatem chcesz zatrzymać córkę... taką jaką jest teraz?

— Zapewniłeś mnie, że była w poszanowaniu niby królowa... Ma się trochę grosiwa w zapasie, to się i znajdzie człowiek, jakiego mi potrzeba...

— Tak, więc zawsze o ten nędzny pieniądz ci idzie — krzyknął tamten z nietajoną wściekłością. — Chcecie zatem sprzedać córkę dla tysiąca lirów.. Czy to nie wasza krew? Czyście chrześcijaninem czy też poganinem.

— Kochany kumie. Wy to pewno przelelibyście własną krew dla bliźniego.

Alessi zląkł się groźnej miny Marza, a skoro nawet perswazje księdza proboszcza nie zdołały skłonić skąpca do wypłacenia posagu, postanowiono, aby Nunzia, która znajdowała się w bezpiecznem schronieniu, powróciła cichaczem pod dach starego.

Może jej uda się skruszyć opór ojcowski.

Papa Marza godził się ostatecznie na oddanie córki, ale o tysiącu lirów ani chciał słyszeć. Nunziata płakała dzień i noc, wreszcie rada w radę, postanowiono zebrać się dla ostatecznego porozumienia się.

— Czy nie kryje się w tem jaka zasadzka? — pytał Bruno, skoro kuma Menika przyniosła mu wiadomość, że stary Marza pragnął z nim mówić — Czy mogę ufać temu łotrowi?

— Pójdę z tobą uspakajała kumoszka. — Porozumiecie się, jak się patrzy.

Tegoż wieczoru, po zamknięciu sklepiku, zna-

leźli się wszyscy czworo w tylnej izbie: Bruno, kuma Menika i Marza z córką. Każdy miał wypowiedzieć swoje zdanie i bronić praw własnych.

Bruno stał jak kłoda, a majster Nunzio spoglądał w ziemię Nunziata napełniała winem kieliszki; kuma Menika, miała zagaić sprawę.

— To się musi raz skończyć. W całej wsi płuczą sobie wami języki Nie ruszę się ztąd, dopóki dzień ślubu nie będzie oznaczony.

W tem miejscu Nunziata uważała za stosowne rozpłakać się.

Bruno spoglądał to na córkę, to na ojca, a ponieważ ten ostatni ani ust nie otwierał, dziewczyna wybuchnęła pierwsza.

— Powiedz sama, kumo Meniko! Ojciec jeszcze opiera się. Po tylu zamienionych przysięgach miłości!... Po tem wszystkiem, com dla narzeczonego uczyniła. Stokroć by mi było lepiej skoczyć do rzeki.

— Ja się nie cofam — mruczał Bruno tryumfując potajemnie. — Ja z mej strony nie cofam przyrzeczenia.

— Kto je więc cofa? — pytała kuma Menika.

Nikt nie odezwał się ani słówkiem, wreszcie Bruno wstał i podniósłszy do góry szklankę wina rzekł uroczyście:

— Niechaj się to wino zamieni w truciznę, jeśli skłamię. Nie zależy mi na posagu. Gdyby to o mnie szło, pojąłbym Nunziatę w samej koszuli.

— To zbyteczna — rzekł Marza. — Ja wiem co do mnie należy.

— Dobrze. To co dajecie, dajecie własnej córce. Ja żądam tysiąca lirów w jej własnym interesie. Czyż ona nie zapracowała tych groszy, przesiadując od rana do nocy za kantorkiem?

To już Nunziata nie mogła się dłużej powstrzymać! Wystąpiła w obronie własnej i powiedziała, że to wszystko święta prawda. Całą młodość od śmierci matki spędziła za ladą sklepową, a teraz dla marnych tysiąca lirów na śmierć ją chcą zamęczyć. Gdyby żyła nieboszczka, z pewnością nie dopuściła by do tego!

Na te słowa wszyscy zmiękli i z płaczem rzucili się na szyję Marza; dziewczyna, narzeczony i kuma Menika. I ściskali starego dopóty, dopóki powtórzywszy po kilkakroć, iż nie da się wypaproszyć jak kura za życia, i że nie myśli brać na wikt córkę, gdy się zmarnuje posag, obiecał w końcu dać owe tysiąc lirów, pod tym jednak warunkiem, aby suma ta na imię córki złożoną została.

Nunziata śmiała się, skakała i klaskała w ręce, nie posiadając się z radości, kuma Menika rozpływała się z zadowolenia, jeden Bruno nachmurzył się i brwi groźnie zmarszczył

Nie ustąpi, jeśli mu pieniędzy na stół nie wyliczą. W żadne banki nie wierzy, pieniędzy na ziemi zahipotekowanej nie chce. Żąda gotówki, bo musi sobie otworzyć sklep na własną rękę i być panem co się zowie i kwita.

— Teraz nareszcie okazało się, do czego zmierzasz!... A ta gąska wierzy w ciebie i pozwala na odgrywanie romansowej komedji — oburknął stary, drżąc z gniewu i oburzenia.

— Nie — zawołała Nunziata, osuszywszy nagle łzy — nie; i ja dłużej nie myślę dać się wyprowadzać w pole. Pieniędzy na handel wątpliwy brać nie pozwolę.. ryzykować mojego posagu nie myślę.

* * *

W ten sposób miłość i narzeczeństwo roztopiło się na nic.

Bruno przed odejściem czynił Nunziacie srogie wymówki.

— A zatem, to tak chciałaś się rzucić do wody z wielkiej miłości?

— Zupełnie tak samo, jak ty chciałeś się zastrzelić *z wielkiej miłości* — przedrzeźniała narzeczona — zupełnie tak samo...

Majster Nunzio zamknął drzwi, a córka rozdrażniona i wściekła położyła się do łóżka.

Nunziata wstydziła się bardzo własnej głupoty i najchętniej na złość wyszłaby zaraz za mąż, chociażby za pierwszego lepszego z ulicy. Co prawda o kogo innego było trudno.

Papa potrząsnął trzosem, znalazł się wnet oswobodziciel w osobie Nina Badalone. Był to okazałej budowy mężczyzna, z którego z łatwością dałoby się wykroić dwóch mężów, a który do tego był mniej zarozumiałym i mniej wymagającym od Brunona. A nadewszystko tysiączka lirów drogiego ojcu i córce, naruszyć nie pragnął.

Nunziata podrożywszy się trochę, dla przyzwoitości, powiedziała słodko, „tak“, a w kilka dni później, kryjąc do poduszki główkę pełną upajających wynurzeń, któremi ją darzył nowy narzeczony, powiedziała sobie:

— Zupełnie to samo co tamto, a mniej kosztuje.

Jan Verga.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.